Nr. 4 We Lwowie dnia 27. stycznia 1896 Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W sprawie parcelacyjnej.

Proces parcelacyjny, odbywający się w dwu naszych zakordonowych dzielnicach: w Królestwie polskiem i Księstwie Poznańskiem, prowadzony przez specjalnie dla tego celu powołane do życia instytucje, zasługuje z pewnością na bliższą uwagę, którą mu poświęcają dwaj znani publicyści warszawscy; Jan Bloch (warszawska »Gazeta rolnicza« z r. 1895 nr. 8—19) i A. Donimirski (»Biblioteka Warszawska«, listopad 1895). Z głównych rezultatów tych opracowań chcemy czytelnikom naszym zdać na tem miejscu sprawę.

Jeden ze wzmiankowanych wyżej autorów, p. Donimirski, podnosi we wstępnych uwagach swego artykułu fakt, iż, aczkolwiek »nie ulega kwestji, że drobne gospodarstwa u nas przeważnie bardzo dużo pozostawiają do życzenia i że przeciętnie stoją na niższym stopniu kultury od gospodarstw folwarcznych«, to jednak »do bardzo mylnych wniosków dójść może każdy, kto wyłącznie na produkcji ziarna oprze ocenę produkcyjności gospodarstw chłopskich i porównanie między wartością ekonomiczną drobnej i większej własności ziemskiej. Wszakże zresztą o ekonomicznej wartości jednostki gospodarczej w gospodarstwie ogólnem nie decyduje sama wysokość produkcji, lecz i korzyść, jaką ona przynosi w formie czystego dochodu. Nikt nie zaprzeczy twierdzeniu, że produkcja w gospodarstwach włościańskich jest tańszą, niżeli na folwarkach... Ileż skutkiem tego jest działów produkcji gospodarczej, które na folwarkach się nie opłacają, gdy tymczasem w gospodarstwie włościańskiem mogą stanowić poważne stosunkowo źródło dochodu?« Dla przykładu przytoczyć można: hodowlę drobiu, nierogacizny, ogrodnictwo, produkcję nabiału. Z drugiej strony, owo chroniczne przesilenie rolne, pod którego fatalnymi skutkami ugina się własność większa i średnia, mniej daje się we znaki mniejszej własności ziemskiej — właśnie znowuż dzięki taniej produkcji.

»W tych to okolicznościach należy szukać wytłumaczenia faktu, że chłopi za mniejsze parcele ziemi zwykle więcej płacą, aniżeli przynieść może sprzedaż folwarku w całości. Pod wpływem przesilenia rolnego bardzo wielu większych właścicieli ziemskich widzi się w konieczności sprzedania, gdy zaś największą cenę osiągnąć można przez parcelację, więc też bez względu na to, czy ekonomja oświadcza się zasadniczo za parcelacją, czy przeciwko niej, własność ziemska w tej chwili tą drogą pójdzie, bo ta jest najdogodniejszą, a często jedyną drogą wyjścia, a wobec tego dyskusja zasadnicza właściwie staje się jałową«.

P. Bloch w swym sądzie o parcelacji, jej społecznem i ekonomicznem znaczeniu dla nas w chwili obecnej, jest bardziej stanowczy. Zdaniem jego usuwa ona te fatalne następstwa, które sprowadza przesilenie rolne. »Daje ona najpewniejszych i bodaj najlepszych nabywców własności większej, pozwala zużytkować siły i cnoty społeczne włościanina. Parcelacja też przez wszystkich znawców naszych stosunków uznaną została za objaw pomyślny, pożądany, bo niosący ratunek w ciężkich chwilach. Ale parcelacja musi mieć odpowiedni kierunek, musi być regulowana przez wolę, świadomą celu i dróg, któremi kroczyć należy...

Zobaczmyż najprzód po jakiej drodze kroczy rosyjski rządowy bank włościański w Królestwie Polskiem, w ciągu pierwszych czterech lat swej działalności na ziemi naszej.

Od r. 1890 do 1894 nabyto przy pomocy banku włościańskiego 62 85[illegible] morgów za sumę 3,936,951 rubli, z czego włościanie dali 1,131.287 rubli czyli 29%, a resztę 2,805.667 rubli, tj. 71% wynosiła pożyczka bankowa.

Prawie wszystkie kupna ziemi w Królestwie Polskiem, doprowadzone do skutku zapomocą banku włościańskiego, nie zostały dokonane przez pojedyńczych gospodarzy, lecz przez spółki włościan, przyjmujące solidarną odpowiedzialność wobec banku za całą pożyczkę. Rzecz naturalna, iż zakupiony majątek podzielony został między spólników i że zawiązana spółka poza wspólnem kupnem majątku innych celów nie miała. W każdym razie to łączenie się w spółki osłabia nieco owo przesadne pojęcie o indywidualizmie chłopa polskiego, z którem w publicystyce naszej tak często spotkać się można. Pożytek tych spółek jest oczywisty. Ułatwiają one nabycie ziemi włościanom mniej zamożnym. W r. 1893 włościanie, połączeni w spółki, przeciętnie dopłacali z własnych funduszów 18 rubli na morg, czyli 28·7% ceny szacunkowej, podczas gdy pojedyńczy nabywcy zaliczyli 26 rubli tj. 42% szacunku.

Ceny, osiągnięte przy parcelacji, wykazują, że najlepszym nabywcą ziemi w czasach obecnych jest włościanin, że pomimo przesilenia rolnego, ziemia nie przestała być dlań matką karmicielką, najulubieńszym warsztatem jego pracy. Przeciętna cena morga, nabywanego przez włościan przy pomocy banku włościańskiego, wynosiła w Królestwie w ciągu trzechlecia 1891 - 93 $64^1/_2$ rubli. Tymczasem Towarzystwo kredytowe ziemskie szacowało mórg dóbr stowarzyszonych przeciętnie na 52 rubli, przy sprzedażach zaś przymusowych płacono przeciętnie 36 rubli!

W r. 1893 bank rozparcelował w Królestwie 29.240 morgów pomiędzy 3226 nabywców. Pomiędzy nabywcami było 1) bezrolnych 1809, 2) posiadających mniej, niż 3 morgi 706, 3) od 3—6 m. 385, 4) od 6—12 m. 152, 5) ponad 12 morgów 34. Jak widzimy bezrolni stanowią 56% ogólnej liczby nabywców, a 24·8% stanowią posiadacze zagród, obejmujących mniej, niż 3 m. Na nowonabywcę przypada ziemi przeciętnie 9—12 morg. Na ogólną cyfrę 62.850 m., rozparcelowanych przez bank w ciągu czterolecia 1890—1893 przypada nabywców w ciągu tegoż czasokresu 7.003. Gdy się zważy, iż w r. 1878 statystyka w Królestwie liczyła 247.403 osad o obszarze mniejszym, niż 10 m., że prawie wszyscy właściciele tych osad, są to kandydaci na nabywców, żądni rozszerzenia swych gospodarstw, że do tej liczby dodać należy masę włościan całkowicie bezrolnych, biorących, jak to widać z przytoczonych wyżej cyfr, bardzo żywy udział w kupnie ziemi, że bank włościański na mocy ustawy może w Królestwie dawać pożyczającym włościanom 75% sumy szacunkowej i jeszcze 15% z funduszu użyteczności publicznej *), razem więc 90% tak, że nietylko mienni, ale wszyscy włościanie drogę do kupna mają utorowaną, — trzeba przyznać, iż działalność banku była dotychczas więcej, niż ograniczoną, że znać w niej jakiś lęk i niepewność, czy działalność banku sprowadzi te skutki polityczne, które niewątpliwie rząd miał na oku, rozciągając w r. 1890 działalność owej instytucji, funkcjonującej w cesarstwie rosyjskiem już od r. 1883, i na Królestwo polskie.

Z czasów przed r. 1890, t. j. przed rozpoczęciem działalności banku, posiadamy dokładne

*) Fundusz ten, wynoszący kilka miljonów rubli, powstał z oszczędności Towarzystwa kredytowego ziemskiego i zagrabiony został przez rząd moskiewski.

LETKIEWICZ.

SYLWETKA

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy.)

Gospodyni domu rzekła:

— Widzi pani, także szczęście. Wziął spadek po wuju Wincentym, owym surowym, o którym wspominałam przed chwilą. Nieboszczyk mój mąż dziwił się niesłychanie, jak można wogóle takiemu letkiewiczowi, jak Staś, zapisywać kapitał i to stosunkowo dość znaczny, bo jednak było tego piętnaście tysięcy w listach. Mąż mój chciał się w to wdać, żeby Staś pieniędzy do ręki nie brał, żeby fundusz zdeponować w banku, niechby leżał — ale ten łobuz mego męża w ramię pocałował, niby za radę dziękując, ale dał przy tem do zrozumienia, że jest pełnoletni i że posiada swój własny rozum. Cóż robić z szaleńcem?! W pół roku później słyszymy, że rzucił się na Pisankę. — Mąż mój powiada: »Warjat! Kapitału ma niewiele, wchodzi odrazu w długi, w ciężary, zginie«..

— Ano, jednak pani dobrodziejko — rzekł pan Dulski, — dziesięć lat już się w tej Pisance trzyma i gospodaruje nie gorzej od każdego z nas. Ciężko mu teraz, bo wszystkim ciężko, ale żeby mu zkąd przyszła jaka taka pomoc, toby mógł się z kłopotów wygramolić i jeszcze na pewnych nogach stanąć.

— — — — — — — — — — —

Przed domem pani Adamowej rozległ się turkot i szanowna wdowa ujrzała przez okno lekką bryczkę, zaprzężoną w parę tęgich, szpakowatych koni...

— Chryste Jezu! — zawołała z przerażeniem... — Staś! Jak zapisał, o pomoc, a ja przecież tego uczynić nie mogę.

Chciała uprzedzić służącą, żeby ta gościa nie wpuszczała; chciała wynaleźć jaką wymówkę, pozór, wykręt, ale już było zapóźno. Do pokoju wszedł człowiek w sile wieku, trzydziestokilkoletni, blondyn, kształtnie zbudowany, wysoki, o jasnych oczach, uśmiechnięty.

cyfry, dotyczące parcelacji, tylko co do gubernji radomskiej (w pracy J. Romanowskiego, Rys stosunków ekonomicznych gubernji radomskiej), a wskazują nam one, w jak nieznacznym stopniu ogarnął bank ruch parcelacyjny, naturalnie, o ile z jednej gubernji sądzić można o całem Królestwie. W ciągu 25-ciolecia od 1865—1889 w gub. radomskiej rozparcelowano 144.971 morgów między 10.622 nabywców, co stanowi przeciętnie rocznie 5.798 morgów, a nabywców 452, t. j. więcej, aniżeli rozparcelowano przy udziale banku w tejże gubernji w ciągu czterolecia (409 nabywców, 4.508 morgów; w całem Królestwie przy udziale banku rocznie przeciętnie w jednej gubernji 1.571 morgów, nabywców 1.175).

Dodać tu trzeba, iż bank włościański, dostarczając ludności włościańskiej kredytu, nie wszedł z nią w styczność bezpośrednią i nie usunął z pod nóg gruntu rozmaitym spekulantom z dawien dawna robiącym na parcelacji interesa. Do takiego wniosku upoważnia zarówno bezpośrednia obserwacja, jak i niektóre cyfry, przytoczone w pracy p. Blocha. Oto z ogólnej liczby majątków, rozparcelowanych w r. 1893, 31,5% stało się własnością uprzedniego posiadacza drogą kupna na licytacji, a 54% drogą kupna bez licytacji.

Zwrócimy jeszcze uwagę na to, iż z sum, osiągniętych w r. 1893 za rozparcelowaną ziemię, 44—78% otrzymali właściciele do ręki. Wszystko to wskazuje, iż znaczny procent osób, sprzedających majątki włościanom, nabywającym je przy pomocy banku, stanowią spekulanci, którzy kupują w tym celu majątki bądź z wolnej ręki, bądź na licytacji, w znacznej mierze oczyszczają je z długów, aby potem z zyskiem puścić na parcelację.

Pozostawiając na stronie działalność pruskiej komisji kolonizacyjnej, która parceluje grunta wyłącznie pomiędzy Niemców, mamy w zaborze pruskim dwie instytucje, służące parcelacji: komisje generalne i bank ziemski (t. zw. ratunkowy). Skąpe jednak mamy cyfry ich działalności. W artykule p. Donimirskiego znajdujemy wiadomość, że w Poznańskiem w r. 1894 zameldowano do parcelacji u komisji generalnych 6.326 hek. (tj. 11.260 morg. pol.), na których utworzono 439 gospodarstw. Cena szacunkowa hektara wynosiła 719 marek, tj. około 12 marek na hektarze więcej, niż płaciła komisja kolonizacyjna. 14% ceny szacunkowej nabywcy zaliczyli gotówką, około 14% zostało na hypotece, około 73% zaliczyła komisja generalna w listach rentowych.

Bank ziemski poznański w ciągu niespełna 7 lat rozparcelował 11.098 hektarów (19.754 morg.) i na tych gruntach osadził 1.013 rodzin włościańskich (w tych liczbach mieści się pewna ilość ziemi, rozparcelowanej przy udziale komisji generalnych, gdyż jak wiadomo, z chwilą wprowadzenia w życie ustawy o włościach rentowych z r. 1891 bank zajął się pośrednictwem przy tworzeniu tych włości).

Pani Adamowa, nie mogła się oprzeć zdziwieniu; sądziła, że siostrzeniec przyjdzie do niej zgnębiony, smutny, że uderzy w pokorę, będzie usiłował ciotkę wzruszyć, przemawiać do jej serca... w imieniu rodziny, zagrożonej utratą podstawy bytu — była pewna, że przyjechał po to, tymczasem widzi go uśmiechniętym i wesołym, jak zawsze. Tak przecież nie wygląda człowiek, stojący nad brzegiem przepaści...

Pan Stanisław zbliżył się do ciotki i złożył na jej ręku pocałunek.

— Witam kochaną cioteczką, — rzekł. — jakże się ciocia miewa?

— Nieszczególnie, bardzo nieszczególnie. Czy można mieć się dobrze w moim wieku...

— Może ciocia zajęta? może w czem przeszkodziłem?

— E, nie... wybierałam się, co prawda, do kościoła, ale ten mój niedołęga Jacek nie może z zaprzęganiem wyguzdrać.

— Cioteczko, moje konie stoją przed domem...

— Kłaniam uniżenie, jeszcze miłe mi są resztki życia.

— Ależ konie spokojne, jak dzieci.

— Pamiętam ja cię dzieckiem! Z zasady cudzemi końmi nie jeżdżę. O wypadek nietrudno, nie mam ochoty narażać zdrowia.

— Jak ciocia chce... Ja nakrótko wpadłem tylko, aby ciocię odwiedzić i doręczyć konfitury od mojej Andzi. Podobno mają być doskonałe.

— Potrzebnie też zrobiła sobie taki kłopot...

— To bagatelka W tym roku owoce ogromnie u nas obrodziły. Andzia robi zapasy na zimę, a dowiedziawszy się, że mam dziś być w mieście, prosiła, żebym zawiózł parę słoików dla cioci.

— Andzia robi zapasy na zimę?

— Cóż dziwnego? Z roku na rok to się powtarza..

— Na zimę?

Pan Stanisław spojrzał na ciotkę, nie rozumiejąc pytania...

— To jest... nic... — rzekła, — myślałam w tej chwili o czem innem i być może, że... Powiedz-że mi, poco przyjechałeś do miasta?

PO WYROKU.

FANTAZJA NA TLE PRAWDZIWEM.

(Dokończenie).

Ekstazę tę jednak w końcu przerwało i pokonało niesłychane znużenie poczynająca się wielka słabość — choroba. We łzach, gorączkująca — usnęłam.

Kiedym się obudziła — zegar wydzwaniał drugą. Porwałam się, — przytomna i orzeźwiona. Pomimo, iż płonęłam cała od mocnej gorączki — zachowałam pamięć o wszystkiem. Spojrzałam na list, leżący na stole... drgnęłam i rozszerzone oczy zwróciłam na zegar. Przed chwilą drugą wydzwonił! Jest to więc noc ostatnia — za dwie godziny — koniec!... Uprzytomniłam sobie wszystko w pamięci, a jednak ten ciężar i ból głowy, puls szybki, ciało słabe i jakieś rozluźnione — stan wielkiej słabości fizycznej — stały się środkiem przytępiającym i łagodzącym cierpienie wewnętrzne.

Niby narkotyk jakiś szczególny znieczulił serce moje — i ból jego stał się mniej ostry i palący.

— Być obiecałam... być muszę! — mówiłam to sobie przytomnie, rozkazująco, walcząc z ogromną słabością, która skuwała mi członki. Z ciężkiem westchnieniem odeszłam od łóżka, do którego się rwało chore ciało moje. Zwalczyłam je resztkami słabnącej woli.

Nagle doznałam jakby wstrząśnienia elektrycznego, przypomniawszy sobie o błahym szczególe, o tej bagatelce w porównaniu ze wszystkiem innem — o szarfie białej! Muszę się przybrać w białą szarfę, żeby mię widział — i iść. Zkąd wezmę tę szarfę? — nie mam jej. Obejrzałam się z sercem bijącem już mocniej, jakby się bojąc spóźnić, — spotkać przeszkodę z tej strony.

Nagle uspokoiłam się. Pochwyciłam wiszące przy umywalni dwa długie białe ręczniki, związałam ich końce i narzuciłam na szyję. Końce zwisały mi aż do kolan. Drobny na pozór wypadek ożywił czucie moje, wzmógł me uśpione wzruszenie — i spotęgował ogromnie bicie rozbudzonego do cierpień serca. — Włożyć okrycie, ubrać się cieplej — wydało mi się w tej chwili czemś uwłaczającem temu... czego niebawem miałam być świadkiem. Co znaczy zaziębienie, choroba — wobec tego, na co będę patrzała!

Mąż mój nocował na fabryce u kolegi, jak zwykle gdy więcej pracy było. Służby się pozbyłam z łatwością — i oto już z domu wychodzę.

Idę już, idę!

Pamiętam tylko, iż przebiegałam miasto z szybkością gnanego zwierzęcia, — że wreszcie stanęłam przy murach więziennych, na placu, do nich przylegającym

Nagle nogi mi się zgięły — i upadłam raptem na kolana...

Na placu tliło się słabem światłem kilka latarek i poruszało się w cichości kilkunastu ludzi. Blady pas czegoś, zakrawającego na świt ledwie, odznaczał się na wschodzie. Wszystko dokoła pogrążało się jeszcze w mrokach nocy. Pośrodku placu, na dole, odcinając się jaśniej od ziemi w czerwonawem świetle latarek, występowały grube podstawy dwóch grubych słupów. Podnosząc się ku górze, słupy te znów zatapiały

---

— Mam dużo interesów do załatwienia, muszę zrobić niektóre sprawunki dla domu, widzieć się z adwokatem.. być w sądzie..

— Aha, w sądzie... sprawę zapewne masz?

— Nie, muszę tylko zebrać pewne informacje, dotyczące majątku małoletnich sierót po panu Anzelmie. Zapewne znała go cioteczka?

— Znałam, ale cóż ty masz z jego sierotami wspólnego?

— Jestem członkiem rady familijnej, w tych dniach odbędzie się pierwsze posiedzenie, więc muszę mieć dokładne wiadomości o stanie majątku. Przejrzę księgę hypoteczną, załatwię sprawunki i za dwie godziny wracam do domu. — Ale też cioci stangret rzeczywiście marudzi, dotychczas nie zajechał.

— Ja się rozmyśliłam, nie pojadę dziś, każę wyprządz, zostań u mnie na śniadaniu.

— Ciociu, spieszę się.

— Kwadransik. — Chciałabym z tobą pomówić

— Jestem na usługi kochanej cioci.

— Bo to, widzisz, mój kochany, ludzie są ludźmi, cudze sprawy zajmują ich bardziej, niż własne, ztąd też plotkarstwo kwitnie. Szczególniej nasze miasto z tego słynie

— Tak mówią..

— I tak jest w istocie, oto, naprzykład, w tych dniach zajmowano się bardzo tobą!

— A cóż mi to szkodzi?

— Zawsze niemiło. Mówiono naprzykład, że jesteś w złych interesach że folwarczek twój wystawiono na sprzedaż...

— To, proszę cioci, nie plotka, ale prawda.

— Nie może być?!

— Rzeczywiście.. Czy moje interesa majątkowe są w opłakanym stanie, to inna kwestja; że zaś Pisankę wierzyciel chce sprzedać — to fakt..

— I ty mówisz o tem tak spokojnie, tak cię to nic nie obchodzi? Bardzo, bardzo się dziwię... Mnie naprzykład nie wspomniałeś nic, obcy ludzie mi powiedzieli..

— Kochana ciociu, na cóż miałem mówić? Pomódz by mi ciocia nie pomogła, a jeszcze wielka kwestja, czy przyjąłbym pomoc?

— Co?

się w ciemności. I tam też, w górze, głucho uderzał o drzewo młot ciężki...

O śmierci! jakżeś ohydna, gdy na tym tronie potwornym, wspartym na słupach tych strasznych, co ludzkie płazy ci wzniosły, — jak głodny wampir zasiadasz! kiedy krwiożercza i sina, dusisz w swych szponach ofiary!

Podniosłam się z ziemi, i cisnąc ręce do serca, tłukącego się w piersi, jak ptak w konwulsjach, ledwom się przyczołgała do jakiegoś ogrodzenia. Tam, odwrócona od placu, usiadłam na ziemi i wsłuchiwałam się w złowrogie dźwięki, nie mogąc i nie chcąc iść dalej.

Tam, za murami — on tego słucha — on na to czeka!... i pewnie więcej się męczy, daleko więcej jeszcze, niż ja. O cóż to za straszna musi być męka! Czyżbym tak samo nie słyszała uderzeń młota katów, gdybym uciekła za miasto, gdybym uciekła jak najdalej! — Niech więc tu w pierś moją uderza. Zostanę — i wytrwam, wytrwam!

Zahypnotyzowana wciąż jedną tylko myślą, że uciec nie mogę, że chcę i muszę tu zostać, zamarłam w jednej pozie, cisnąc rękami serce.

Przyszedł czas wreszcie, gdy brudny mrok, wyłoniony z ciemności głębokiej, — stał się ostatnią jutrzenką dla nieszczęsnego skazańca.

Głuchy szmer głosów i ruchu ludzkiego — kazał mi głowę raptownie wznieść i odwrócić... ku miejscu. Latarnie gasły — czworobok żołnierzy otaczał... miejsce śmierci.

Słuch mój zanikł w tej chwili — pozostał wzrok tylko — i jeden rozkaz potężny, nieubłagany brzmiący w mej duszy:

— Idź! wysuwaj się naprzód! stawaj tak, by cię widział!...

Zataczając zygzaki i koła, doczołgałam się znów do czworoboku żołnierzy, wśród martwej i uroczystej ciszy. Kilku zaledwie obcych jakichś ludzi — może tych, co młotem pracowali, stało opodal.

Tyle poczucia rzeczywistości we mnie zostało, iż mogłam stanąć tuż zaraz przy żołnierzach, — naprzeciwko... miejsca. Dolna szczęka drgała mi konwulsyjnie, zęby dzwoniły, dygotałam, jak liść miotany przez wicher, — lecz nie padałam przynajmniej, trzymałam się na nogach.

Oto otwiera się brama — i znowu oddział żołnierzy. W środku nich dwie postaci, posuwające się krokiem nierównym — to dósyć szybkim, to znowu ustającym prawie. Czasem nawet jedna z nich zgina kolana, chyli się ku ziemi. Druga podnosi ją, niby troskliwie, powoli, ostrożnie — i idą dalej. Postać ta chyląca się i znów się podnosząca — jest szczupła, wiotka, bezsilna. Ta, co ją wspiera i podnosi — barczysta i mocna.

I oto wszystko znikło mi z przed oczu, oprócz tej szczupłej postaci, wspartej na drugiej, barczystej. Stanęli blisko, tak blisko!...

Wtem nagle od tej postaci ludzkiej, którą jedyną tylko widzę — uderza we mnie spojrzenie wielkich, przejrzystych, otoczonych dziwną jakąś sinością źrenic. Spojrzenie przerażonego dziecka o jasnych oczach niewinnych, osadzonych w twarzy znękanej i wynędzniałej, jak twarz starca, co wiele cierpiał, — w twarzy żółtej, z krwawemi plamami na policzkach. Kosmyk włosów zawisł nad samem okiem, czapka trochę krzywo na lewą skroń zsunięta.

On patrzy!... Mówi coś, mówi!... porusza ustami.. Nie słyszę — nic nie słyszę! Tylko go-

---

— Czy przyjąłbym pomoc. Wyraźnie to mówię.

— Dobrze, że mnie o tem uprzedzasz, bo mogłabym była narazić się na przykrość.

— Niech cioteczka przyzna, że takie niebezpieczeństwo było od niej bardzo dalekie..

— Bardzo, albo niebardzo.. Zdaje mi się jednak, że będąc w twojem położeniu nie mogłabym zdobyć się na humor, tak jak ty i żartować w chwili.. bardzo poważnej.

— Więc cóż mam robić, moja ciociu? płakać, czy życie sobie odebrać?

— Człowieku, co mówisz?! Życie sobie odebrać! — a żona, dzieci...

— To też nie myślę o rewolwerze, ani nie pogrążam się w otchłań rozpaczy...

— Ale dlaczego się nie martwisz? Jak możesz się śmiać w takiej chwili? Ja, przyznam się szczerze, wstydziłabym się ludziom pokazywać, gdyby mój majątek miano sprzedawać.

— W takim razie dużo ludzi musiałoby z domu nie wychodzić..

— Ale ostatecznie, jakże to będzie?

— Ratuję się, jak mogę.

— A jeżeli się nie wyratujesz?

— To folwark sprzedadzą.

— I co w takim razie, co wtenczas? gdzie podziejesz żonę, co zrobisz z dziećmi?

— Na to jestem mężem i ojcem, żebym o tem myślał... Dajmy pokój tej rozmowie. Cioteczka gniewa się i rozdraźnia niepotrzebnie, a ja już się nie zmienię; jakim byłem, takim już pozostanę do śmierci.

— Niestety.. to prawda.. masz słuszność.

Po odejściu siostrzeńca ciotka zadumała się. Możeby mu pomódz? — fundusz jest, — ale nie — na co? Zmarnuje się ten człowiek tak czy owak, przytem naruszenie kapitału wywołałoby konieczność wprowadzenia pewnych zmian i poprawek do testamentu, który już oddawna jest zrobiony, opieczętowany, powierzony w pewne ręce. Trzeba by znowuż pisać, zmieniać, myśleć o śmierci, a to przedmiot nie wesoły; odbiera apetyt i wywołuje bezsenność

C. d. n.

rący strumień ścieka mi po twarzy, szczęka drży, zęby dzwonią. I on ma łzy na policzkach... wciąż jeszcze rusza ustami i ręce jeszcze wyciąga... i rzuca niemi w powietrze, wpatrzony we mnie, jak w tęczę... Podnoszę i ja ramiona z takim wysiłkiem, jak gdyby były kamienne — i także wyciągam je do niego, ledwie je mogąc utrzymać w powietrzu...

Lecz znowu postać barczysta bierze go pod ramię. On się pochyla... ogląda... jeszcze coś mówi, wciąż patrząc na mnie... Spuszcza wreszcie głowę i... poczyna wstępować na coś wysokiego, unoszony prawie przez barczystego chłopa ..

Oto raz jeszcze usiłuje podnieść ręce... już je podniósł... Lecz coś spada na niego... białe to — straszne!... straszne!! Ty, straszny Boże, nie dopuść!...

Nieludzki krzyk pierś mi rozdziera; padam twarzą ku ziemi.

. . . .

Janina Baudouin de Courtenay.

NOC ZIMOWA.

I

Bez ruchu
Na białem tle
Śniegów rysują się drzewa —
Już liść szeleszczący nie śpiewa,
Nie wabią się
Szczebiotem, wśród wonnych kwieci
Słowiki, wiosny poeci —
Wicher tylko dmie
O drzew konary, okryte
Śniegiem... wichrami wciąż bite,
Podnoszą się
Bez ruchu.

II.

Już lodem,
Nie runem fal,
Okryte wodne zwierciadła —
Wichura stycznia zajadła,
Jęcząc swój żal,
Nie zniszczy spokoju wody,
Pancerzem dla niej te lody —
Więc pędzi w dal
Wściekła, szalona, rozżarta,
Śniegiem w twarz pluje uparta —
A tnie jak stal
Śnieg z lodem.

III.

Księżyca
Wybłysnął kask
Na chwilę mimo zawieji —
Nie dla kochanków, nadziei
Pełen swój blask
Na ziemię zlewa — on w maju
Po marzeń wodził ich raju,
Dziś nie zna łask...
Zaświecił — patrzcie — skostniała
Na śniegu postać leżała,
Sina jak brzask
Księżyca...

Zdzisław.

Korespondencja Renana.

(Ernest & Henriette Renan. »Correspondance intime«. Paris. 1895 *)

Listy »pośmiertne« stanowią niezmiernie ponętny materjał dla szperaczy biograficznych. Przypuszczamy zwykle, że gdy autor pisze do rodziny lub przyjaciół — zrzuci odświętną szatę, zdradzi nastrój chwili, odsłoni swe prywatne życie.

Pomijamy z góry kwestję, czy pomiędzy realną powszednością a dziełami genjuszu istnieje konieczny związek; czy sposób codziennego bytowania twórcy odbija swe piętno na jego dziele, czy plotkarstwo krytyczne na wzór Sainte-Beuve'a jest rzeczywiście kluczem do rozwiązania zagadki tworzenia. Wobec braku naukowej psychologji wyobraźni twórczej, każdy osobisty dokument nie przestaje być łupem dla krytyków i publiczności.

Korespondencji Renana z siostrą oczekiwano niecierpliwie. Spodziewano się, że rzuci jakieś nieznane światło na sprawę porzucenia seminarjum przez sławnego autora »Życia Chrystusa«; chciano także odnaleźć w listach Henryki potwierdzenie tych tytułów do nieśmiertelności, któremi ją tak hojnie obdarzył brat w książeczce »Moja siostra Henryka«.

Jeżeli listy Renana ujawniły wogóle jakąś tajemnicę, to chyba tę, że dwudziestoletni Ernest-kleryk był nad wiek swój dojrzały, oschle poważny, sztywny i tak samolubny, jak w późniejszych latach. Jednakowo eleganckie, zimne, niby w rodzinie markizów z ośmnastego wieku, —

*) Revue de Paris NN. 16, 17 i 18.

nie zawierają ani jednej tkliwej pieszczoty, ani jednego gwałtowniejszego uniesienia. »Znasz moje zaufanie i moje głębokie przywiązanie« — oto najserdeczniejsze i najczęstsze finały listów do siostry, która przebywała o sto mil od brata, a była jego najczulszym, najlepszym genjuszem opiekuńczym. W swoich »Wspomnieniach z lat dziecięcych i młodzieńczych«, napisał Renan takie zdanie: »Korespondencja moja hańbą mnie okryje, jeżeli ją po śmierci mojej ogłoszą. Napisać list — to dla mnie tortura. Rozumiem, że można być wirtuozem wobec dziesięciu, jak wobec dziesięciu tysięcy osób; ale wobec jednej!... Przed pisaniem waham się, zastanawiam, przygotowuję plan dla strzępku o czterech stronicach; często zasypiam. Wystarczy popatrzeć na te listy, ciężko zaokrąglone, nierówne, wymęczone przez nudę, aby się przekonać, że wszystkie były tworzone w półsennem omdleniu. Kiedy odczytuję, co napisałem, widzę, że to bardzo słabe, że umieściłem mnóstwo szczegółów, których nie jestem pewien. Zrozpaczony zamykam list z uczuciem, iż zanoszę na pocztę coś godnego litości«.

Zwierzenia powyższe tłómaczą, dlaczego korespondencja Renana sprawia wrażenie, jakby była pisaną na obstalunek: wybrał sam i do druku przeznaczył takie tylko listy i takie tylko ustępy, które w jego mniemaniu, nie psują sylwetki genjalnego człowieka, za jakiego się zawsze poczytywał. Chciał być, podług określenia Lemaitre'a, »królewsko-inteligentnym, jak Kleopatra była królewsko-piękną«. Zamiast tedy nowej spowiedzi, mamy raczej rozwinięcie niektórych półsłówek, rzuconych luźnie lub umyślnie niedbale we «Wspomnieniach«.

Listy pisane są w seminarjum Issy lub Saint-Sulpice. Opowiada Renan pierwsze zetknięcie się z filozofją, które go do głębi porusza. »Czyni się taką drogę w ciągu roku, jaką przeszła ludzkość w ciągu wieku. Patrzy się na rzeczy w sposób tak inny, poznaje się tyle przesądów i błędów tam, gdzie się dotychczas widziało samą tylko prawdę, — że jest się skłonnym do powszechnego sceptycyzmu.

Możnaby zwątpić o wszystkiem, gdyby natura na to pozwalała i gdyby odrzucenie wszelkiej prawdy nie było jeszcze głupszem, niż przyjęcie wszelkich błędów«. Ma to znaczyć, że tracąc wiarę, nie myślał zrazu o porzuceniu seminarjum. »Gdyby nawet chrześcijanizm był tylko urojeniem, — kapłaństwo, bądź cobądź, nie przestanie być typem boskim«. Kapłaństwo to pojmował Renan w sposób odrębny. Ksiądz jest dla niego depozytem mądrości i rad, jest człowiekiem cichych studjów i rozmyślań, a jednak człowiekiem, jak jego bracia. Marzy więc o takim ideale życia szczęśliwego i doskonałego, któreby stanowiło »mięszaninę życia prywatnego i publicznego, samotności dla siebie, poświęcenia dla innych«.

Gdy nadchodzi epoka tonsury, ogarnia go niepewność i chwiejność. »Nie będzie to ślub, ale obietnica, obietnica na honor i sumienie, obietnica, uczyniona Bogu, a taka obietnica, bliską jest ślubu. Jakże trudno zdecydować się, tak młodo, na rzecz, która będzie miała wpływ na całą przyszłość!« Ale że to konieczność nieunikniona, więc nie usunie jej, zrzekając się stanu kapłańskiego. »Nastąpi decyzja za decyzją, ale zawsze decyzja: a wyraz to straszny«.

Gdyby był sposób rozstrzygnięcia dylematu, chwyciłby się go natychmiast, ale niestety, niema go. »Czy w prawo, czy w lewo — zawsze otchłań«. Więc rzuca się w tę otchłań, przechodzi odnośny egzamin i tonsurę otrzymuje.

Umysł filozofa nie dawał mu widocznie spokoju; aby samego siebie ogłuszyć, pisze: »Gdybym był naczelnikiem jakiej szkoły filozoficznej, zmusiłbym moich uczniów do ceremonji, którą kościół ustanowił dla pierwszego kroku w kapłaństwie, bo duch tego kroku oznacza zrzeczenie się wszystkiego, co ani piękne, ani dobre, ani prawdziwe, a bez takiego zrzeczenia się niema filozofji.

Jeżeli stanę się kiedy człowiekiem próżnym i lekkomyślnym, przywiązanym do nędznych uciech codziennych lub do nędzniejszego jeszcze poglądu (nie mówię o sławie, która nie jest próżnością, gdy się ją umie pojmować) — dopiero wtedy będę mógł powiedzieć, że nie wykonałem obietnicy«. Posuwając się dalej w badaniach filozoficznych, przetrząsając do głębi teologję, traci coraz bardziej grunt pod nogami. »Jakże ciężko — woła — kroczyć z oczyma zawiązanemi i nie wiedzieć dokąd! Są chwile, w których żałuję tej odrobiny swobody, którą pozostawiono człowiekowi, aby wpływał na swe życie; pragnąłbym, aby jego przeznaczenie było albo fatalnem, albo całkowicie zależnem od niego samego; dziś jest dość silnym, aby mu się opierać, a nie dość silnym, aby niem kierować«.

Zbliża się tymczasem subdjakonat, pierwsze święcenie kapłańskie, poczytywane za krok nieodwołalny. Tu już nie próbuje Renan przekonywać siebie; odkłada odrazu subdjakonat na czas nieokreślony. A myśl odbywa w nim dalej swą pracę. Od chwili, gdy się obudził w nim krytyczny rozum, — »zażądał swych praw, które mu dały wszystkie czasy i wszystkie szkoły«. Rozpoczęło się racjonalne sprawdzanie teologji i — wiara upadła do szczętu.

Jednocześnie powstaje projekt karjery liberalnej, naukowej, który pochłania całkowicie wątpiącego kleryka. Marzy o szkole Normalnej albo o specjalizowaniu się w językach wschodnich. Zaawansowany w niemieckim, oddaje się w tym czasie poważnym studjum literatury niemieckiej. »Zdawało mi się, — mówi — że wchodzę do świątyni, gdy począłem rozważać tę literaturę tak czystą, tak wielką, tak moralną, tak religijną, w najwznioślejszem tego wyrazu znaczeniu. Jakie

głębokie pojęcie człowieka i życia! Jakże oni dalecy od tych marnych poglądów, w których cel ludzkości sprowadzony do nędznych stosunków przyjemności i korzyści!... Zachwyca mnie zwłaszcza szczęśliwa kombinacja poezji, erudycji i filozofji, kombinacja, która podług mnie stanowi prawdziwego myśliciela. Herder i Goethe są pisarzami, w których znajduję najgłębsze urzeczywistnienie tej mięszaniny i dlatego budzą we mnie uwielbienie. Drugi z nich jednak — niedość moralny. Faust zachwyca, ze względu na swą filozofję, ale okropny ze swym sceptycyzmem. Świat nie jest takim; istnieją prawda i dobro absolutne; w pierwszą trzeba w i e r z y ć, drugie należy wykonać«.

Wreszcie, podczas pobytu na wakacjach, u matki, decyduje się Renan porzucić seminarjum i zamieszkać na razie w hotelu.

Wykonywa to najściślej. Pod pretekstem, iż na jakiś czas opuszcza Saint-Sulpice, dostaje się, w charakterze korepetytora, do kolegjum Stanisława, szkoły o kierunku klerykalnym. Dyrektorzy tego zakładu, zostający w stosunkach z profesorami z Saint-Sulpice, żądają od Ernesta, aby w dalszym ciągu chodził w sukni. Na to zgodzić się już nie może; opuszcza szkołę i zrywa w ten sposób nawet pośrednie stosunki ze światem księży.

Przyjmuje miejsce nauczyciela na prywatnej pensji i przygotowuje się do egzaminu na stopień bakałarza. Wykształcony znakomicie w hebrajszczyźnie, pragnie oddać się tej nauce, nie przestając wszakże marzyć o filozofji. Umysł mój — pisze — nie mógłby się zadowolnić katedrą np. fizyki, lub jaką inną, nawet najświetniejszą. Życie nie na tem polega. Na cóż się zda człowiekowi, gdy będzie uczonym w przyrodzie, jeżeli nie jest uczonym w samym sobie i w bóstwie — jeżeli nie jest filozofem?

(Dok. nast.). J...

Rozbiory i sprawozdania.

Sidnej und Beatrice Webb. Die Geschichte des britischen Trade Unionismus. Stuttgart 1895. Deutsch von R. Bernstein.

Jest to przekład wydanej w r. 1894 r. angielskiej pracy małżonków Webb'ów o historji trades-unionów (związków robotniczych) w Anglji.

Kreśląc obszernie powstanie tych związków, dają w drugim rozdziale obraz ich walki o byt w epoce 1796—1825, zakończonej wykreśleniem z ustawodawstwa angielskiego (w r. 1824/25) całego szeregu przepisów, zabraniających tworzenia związków robotniczych. W perjodzie następnym, od r. 1829—1842, a nawet 1848, związki te, uzyskawszy legalny grunt pod nogami, opuszczają pole interesów czysto robotniczych, klasowych i rzucają się w wir agitacji radykalnej oraz socjalistycznej. »W ciągu następnej ćwierci wieku spostrzegamy rozwój nowych poglądów i pierwotne tworzenie wielkich amalgamatów — związków wykwalifikowanych robotników z centralnymi zarządami, kasami wsparć i gdzie tylko się daje, zastępujących gwałtowne metody walki klasowej dyplomacją cechową«. To okres od 1843—1860. Cały rozdział 5-ty poświęcają autorowie szczegółowemu opisowi działalności tej grupy urzędników związków robotniczych, dzięki której właśnie powstała owa olbrzymia organizacja i nowe w niej prądy. Rozrost organizacji prowincjonalnych sprzyjał od czasu do czasu separatystycznym tendencjom i partykularyzmowi. Powrotna fala socjalizmu, w socjalno-demokratycznej postaci, która w Anglji z wielką gwałtownością coraz szersze koła robotnicze ogarnia, wzmocniła poczucie solidarności między fachowymi związkami robotniczymi. To już dzieje ostatnich lat 15-tu.

Taką jest w najogólniejszych zarysach treść dzieła, które, jak pisze w dodatku do niemieckiego przekładu znany ekonomista niemiecki R. Bernstein, było nawet dla angielskiego społeczeństwa, nie wyłączając klas robotniczych, pod wielu względami prawdziwem »objawieniem«. Druga jego część, dotychczas nie wydana, ma traktować o zadaniach związków robotniczych. Trudno się nam powstrzymać od powtórzenia na tem miejscu trafnej uwagi tegoż Bernsteina, członka niemieckiej partji socjalno demokratycznej, uwagi, dotyczącej omawianego dzieła. Bernstein zaznacza, że »po przeczytaniu tej książki staje się dla czytelnika jasnem, iż związków robotniczych oraz ich działalności nie można należycie ocenić, wychodząc z jednego tylko punktu widzenia. Taka uwaga może w ustach zwolennika historycznej teorji Marksa, Engelsa, wydać się na pierwszy rzut oka dziwną, ale miejmy nadzieję, iż tylko na pierwszy — powiada dalej Bernstein. Gdyż teorja ta daje nam wprawdzie w swej nauce o walce klasowej klucz do poznania zjawisk społecznych, nie uwalnia nas jednak od obowiązku badania ich specjalnej postaci i związków oraz ich różnorodnych wzajemnych stosunków. Należy o tem pamiętać zawsze, nawet i wówczas, gdy mamy do czynienia z rzeczą stosunkowo tak prostą, jak związki robotnicze. I tu powinni strzedz się tego złudzenia, żeśmy n. p. już powiedzieli wszystko, co potrzeba, rzucając słówka »walka klasowa«. Popełnilibyśmy tu bowiem ten sam błąd, który poeta zarzuca teologowi, mówiąc:

»...Wo Begriffe fehlen, da stellt zur rechten Zeit ein Wort sich ein«. Najlepsza teorja, stosowana w sposób szablonowy, tak samo zaciemnia rzeczywistość, jak poglądy fałszywe lub brak wszelkiej myśli przewodniej«. Jak widzimy i pisarzom socjalno-demokratycznego obozu w Niemczech już za ciasno jest w ramach teorji »walki klasowej«!

Z drukarni Z. Gołłoba we Lwowie.